

Konstancja  
do obywateli  
albo do szlachty  
na piśmie

Twójcie Szanowni

w  
Minimie Szanownej

roku 1850

Niewolna chacia z powodu  
porzucenia napisana Szanownej  
na obywateli ewangelicki kościół  
Daje się do użycia  
S. Wasilowski, Kanclerz,  
Syn do Władcy Umiejętnej



1850 r.



5308

**TYDZIEŃ ZAPUSTNY**  
W MIEŚCIE GUBERSKIEM

*Mińska*

W ROKU 1850.

**CZWARTEK.**

**W** niejakiemś gubernskim mieście, *w Mińsku r. 1850.*  
W dniach zapustnych karnawału,  
Zmówiło się osób dwieście:  
Jeść i wypić do odwału! —  
Lecz nim jeszcze uradzili,  
Jakby w tak ważnym przedmiocie  
Ogólny zachwył wzbudzili,  
W ogromnym byli kłopotcie. —  
Z domu do domu biegali,  
Jakby w gwałtownym pożarze;  
Dam i mężczyzn werbowali  
Przez delegatów po parze. —

1\*

INSTITUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72

Tel. 26-08-63

<http://rcin.org.pl>

Każdy z nich mózgi nadymał,  
 Czém się popisać w tém gronie,  
 Myśli, gdyby łuk napinał,  
 Jak zahulać w dobrym tonie. —

I brakło im ducha cnoty;  
 Bo to niby lud wybrany  
 Do próżniactwa i pustoty,  
 Których wyżywia poddany. —

A magnata prawdziwego,  
 By z wiarą umiał panować,  
 Nie było ani jednego. —

Każdy tylko mógł rachować:  
 He dni marnie spędzono,  
 Jak strwonił pracę rolnika,  
 I ile wina spijano,  
 Przy grze lancknechta — stosika. —

A damy? Damy wieśniaczki  
 Jakiś pozór wstydu miały;  
 Bo niektóre piekły raczki,  
 Że jak bakchantki szalały. —  
 Lecz że to razem działały,  
 Wspólnie z miastową gromadą,  
 Przeto siebie pocieszały:  
 Że idąc za matek radą,  
 Będą się świetnie widziały  
 Assystowane z paradą. —

Było i takich nie mało,  
 Co na panów chorowali;  
 Choć im na dziś nie stawało,  
 Lecz na listę się wpisali. —

Panowie przeto bogaci,  
 Swieżych rozrywek szukali;  
 A bosi arystokraci,  
 Nowe długi zaciągali. —

I zgodzono się w zapale,  
 Przyjąć radę generała:  
 Nie myśleć o biednych wcale,  
 Nie czuć, że wiara kazała  
 Zaprzec się siebie samego,  
 Wesprzeć w nędzy pracujących,  
 Działać dla dobra bliźniego  
 Dzieląc niedolę cierpiących;  
 Lecz wstecz chrystianizmowi,  
 Na przekor prawu ludzkości,  
 Wbrew własnemu zwyczajowi,  
 I koniecznej moralności,  
 Uchwalili — ogłusili:  
 Maślanicę bachusować!

Sanie w kształt łódki zrobili,  
 By z wystawy szlichtadować. —

I we czwartek już gotowa,  
 Pracą żołnierzy zrobiona,  
 Z chorągiewką duża nawa,  
 Przy hauptwachcie postawiona. —

Już na niej dla zachęcenia:  
 Generał z oficerami, *Swieciński*  
 Z nimi szuler z pokolenia,  
 W okrąg rynku z uśmiechami  
 Miastu się sprezentowali,

I z miną samochępliwą,  
W czem są zdolni, ukazali. —  
Lecz gmin, z dumą pogardliwą  
Spójrzył — plunął, westchnął cicho,  
Nawę nazwał eszafotem,  
I wróżąc ztąd nowe лихо,  
Z trwogą oglądał się potém. —  
Żyd zapytał: „Cy to wiara,  
„Takie stuki pakazuje?  
„Cy to chreścijan afiara,  
„Kamedyje wymyśluje?“  
Rzemieślnik w nędzy pracując,  
Kmiotek prawie bez odzienia,  
Odstawny żołnierz żebrując,  
Sierota bez pocieszenia,  
Wdowa bez poratowania,  
Sługa w łachmanach zsiniały,  
Więzień bez politowania,  
Starzec bez pieczy, schorzały,  
Z bólem spojrzeli w niebiosą,  
Gorzko zdusili swe żale,  
I jakby piekielna osa,  
Ugryzła ich w karnawale. —

## PIĄTEK.

**W** Piątek, w reutowej sali,  
O w pół do pierwszej godzinie,  
Na śniadanie się zebrali. —

I gdybyż tylko na blinie  
Skończyło się ugaszczanie;  
Byłoby patryarchalne,  
Prostoty naśladowanie. —

Lecz tu chęci kardynalne  
Odnaczenia się szukały:  
By zjeść, jak inni nie wstanie,  
Aż by brzuchy napęcniały;  
By przy węgrzynie — szampanie,  
Grzmiała orkiestra; jak w duszy  
Grzmi burza własnej miłości,  
Aż duma sumienie zgłuszy. —

I z takichto ciał i kości,  
Całe się grono składało. —

Gdy się najedli — napili,  
Aż w głowie dobrze szumiało,  
Aż ledwo nosem nie ryli,

Oznajmiono: że już czeka  
W osiem koni zaprzężona,  
Arka pomysłu człowieka,  
Kraśnym suknem osłonią,  
Wziętym z cejchhauzu żołnierzy,  
Gdzie od skarbu zakupione  
Dla mundurowych kołnierzy,  
Na zapas było złożone. --

Końskie grzywy i ogony,  
Miały kokardy wstążkowe;  
A forysie, nie w galony,  
Nie w cacka karnawałowe,  
Ale w szynelach odziani,  
Nie odpowiednie siedzieli. —  
Lecz któż im za to przygani,  
Że zwyczajną odzież mieli?  
Bo oni, równie też konie,  
Z pułku komenderowani,  
Aby generała żonie,  
Najpierwszej w tém gronie pani,  
Wszystkie inne dziękowały,  
Że jej winne i mężowi,  
Iż będą świetnie jechały,  
I sprawią cudo ludowi. —

Równo o trzeciej godzinie,  
Wiwatować zakończyli,  
I jak chrząszcze przy brzezinie,  
Z gwarem wszyscy się ruszyli. —

Każdy na ganek pospieszał,  
Weteranie, weteranki,



Ten żonie welum zawieszał,  
 Ów śledził kroki kochanki. —

Oto już widać na ganku,  
 Wicegubernatorowa *Siemienowa*

I jój córka, bezustanku *Niży* —

Proszą: by generałowa

Wspólnie z panią marszałkową *Horwattowa*

Na środku wozu usiadły,

I koroną bachusową,

W tak ważnym akcie zawładły. —

Za tę grzeczność udygnęły,

I przy usłudze młodzieży,

Dwa w środku miejsca zajęły. —

W ślad jedna za drugą bieży,

Do korabiu zapraszane,

Podług wieku i znaczenia. —

Tak gdy były powsadzane

Jak kwochy do jaj zniesienia,

Mężczyzni stanęli w koło. —

Każdy z nich trunkiem zagrzany,

Spogląda na świat wesoło;

A paręczem podpierany,

Sądzi się bydz arcy-człkiem. —

Kilku z nich cygaro pali;

A jeden już stary wiekiem,

Którego wówczas obrali

Heroldem swojej zabawy,

Kawaler legijonowy, *Swiętomirski Władysław*

Stał przy chorągiewce nawy,

Wyżej nad wszystkie tu głowy. —

Tym sposobem trzy tuziny,  
 Gdy do kosza się zebrało;  
 Pan Dyrektor tej drużyny,  
~~Z postawą~~ zarozumiała,  
 Krzyknął woźnicom: „pajeżdżaj!“\*)

I nawa z miejsca ruszyła. —

Ale, że dużo nadwyczaj

Ciężaru w sobie mieściła,

Przeto płynęła leniwie. —

A za nią w budach, w saneczkach,

Jechali z tyłu gniewliwie,

Jak zaparte szczury w beczkach,

Pozostali biesiadnicy. —

I sznur długi różnych sanek

Zajął prawie dwie ulicy. —

A choć w oknach z pod firanek,

Nie jedne politowanie,

Nie jedne żalu spojrzenie,

Osiwiałych głów kiwanie,

I tęskne bratnie westchnienie,

Chociaż się i zawiesiły

Nie na jednym w karawanie,

Lecz cóż w skutku uczyniły?

Nic. — Bo człowiecze zeznanie,

Zamiera w szale zmysłowym;

Bo prawda chrześcijanina

Na popisie bachusowym,

~~Jak bez imienia~~ dziecina:

\*) Ruszaj.

Nie sprawi duszy wstrząśnienia,  
Nie zakolące do cnoty,  
Nie zwabi zarumienienia;  
Bo to widzenie hołoty,  
Która za upiorem goni,  
Przenosząc cierpienia dumnie,  
Że mu dzwon nadziei dzwoni  
Wiecznego zbawienia w trumnie. —

Więc do czegoż się im zdało  
Rozjaśniać odchłań żywota,  
Gdy daleko z większą chwałą,  
Upoważnia się pustota. —

Radośnie przeto jeździli  
Po wszystkich większych ulicach,  
Aż się nieco wytrzeźwili,  
Aż gród okazał się w świecach. —

Wówczas znowu do téjż sali,  
Na herbatę i dla tańców,  
Znów ciż sami się zjechali. —

Młódź stańczyła kilka walców,  
Kilka polek, kontradansa,  
A gdy weteranie zgrali  
Partyę wist — preferansa,  
Do domów się rozjechali. —

W téj zabawie wieczorowej  
Zakończonej skromnie — miło,  
Żadnej przechwałki zbytkowej,  
Nic do nagany nie było. —

Jedno tylko: że za mało  
Do składki pieniędzy dano,  
I dla tego to nie stało,  
By wieczerzą częstowano. —

---

## SOBOTA.

Na Sobotę ogłoszono:  
Świetny wieczor kawalerów! —

Na sessyi uchwalono:  
Że żadnego z oficerów  
Jako nie stałych mieszkańców,  
W poczet składkowych nie wzywać.  
Z palestrantów krwi mieszkańców,  
Tym wolno się zapisywać,  
Którzy zdawna spokrewnieni  
Z elekcyjną społecznością,  
Lub z nim skoligaceni  
Koteryjną znajomością. —

Wojskowych jak gości prosić,  
Gdy im sam generał każe. —  
Bo kogoż szatan ma nosić,  
I jak się nasz ton okaże,  
Jeżeli z nich u każdego,  
Nieznanego z urodzenia,  
Gdzieś nędznie mieszkającego,  
Trzeba być dla zaproszenia. —

W tej radzie przewodniczyli:  
Prezydent z Wiatki przybyły,

*Kutajewicz*

I ci, którzy się chępli,  
Że w ich głowie skarby były. —

A w istocie ci panowie  
Byli tylko wiatrogony;  
Bo też z nich żaden w rozmowie,  
Lecz z ubioru był ceniony. —

Jednak nie ma nic dziwnego,  
Że w przypadkach przyrodzenia,  
Traf upoważnia i tego,  
Kto nie pracą się ocenia. —

I tu właśnie w karnawale,  
Gdzie czyn człowieczy był w stronie,  
Gdzie sądzono: że za bale  
Pan Bóg da niebo po zgonie,  
Tu młokosom się udało,  
Bydź na czele publiczności;  
Tu i złyśiałych nie mało,  
Nie znało praw społeczności. —

Cieszyli się więc ojcowie,  
Z pychą cieszyły się matki,  
Że urwisy ich synowie,  
Proszą dać rublów do składki. —

Z nich nikomu ani w głowie  
Czyjm potem grosz nabyty,  
I że ciężko zań odpowie,  
Jeśli będzie źle użyty. —

Ale któż tam stare dziwy,  
Kto dziś mówi o zbawieniu?  
Chyba to nieuk prawdziwy,  
Bredzący w sennem marzeniu. —

Nie bratku! w *Memento mori*,\*)  
Nawet djabeł się wpatruje,  
Ma cyrograf spraw twych spory,  
I na duszę twą czatuje! —

A tymczasem szlifobruki,  
Jak radzili, tak zrobili. —

Dokazali swojej sztuki;  
Bo u generała byli,  
I ten człowiek nie światowy,  
Obozowej etykiety,  
Utwierdził projekt gotowy,  
I jak attak na bagnety,  
Zalecił adjutantowi:

By lepsi oficerowie,  
Na wieczor byli gotowi. —

Delegaci po tém słowie,  
Skłonili się, pojechali,  
I spiesząc jak opętani,  
Dalszych z listy zapraszali. —

A gdy i inni wybrani  
Deputaci pikmikowi,  
Czynność swoją ukończyli;  
Druga rada się stanowi:  
Że tych, których nie prosili  
By do składki należeli,  
A sami z jakiejś przyczyny  
Tegoby wymagać chcieli,  
Nie przyjąć! bo to lud gminy,

---

\*) Pamiętaj na śmierć.

Którzy najpewniej nie wiedzą,  
Jak na tak ważnym wieczorze,  
Tańczą, mówią i siedzą. —

Im powiedzieć: że nie wporze  
Oświadczyli swe żądania;  
I ztém układnie przeprosić:  
Że mimo wszelkie starania,  
Uczynić prośbie zadosyć  
Niemożem; — więc przebacz panie!  
I biorąc rękę uprzejmie  
Uścisnąć na pożegnanie. —  
Ten epilog każdy pojmie.

Zaraz też tak odmówili  
Jednemu profesorowi.

A później gorzej zrobili:  
Bo współobywatelowi,  
Dobrze wszystkim znajomemu,  
Wejść do sali zaprzeczyli,  
Dla tego, że z nich żadnemu,  
Wówczas gdy się ozdobili  
Urzędnictwem pikmikowym,  
Niezłożył uszanowania;  
Lub biletem wizytowym  
Niedowiódł, że się im kłania. —

Bo wszyscy wyobrażali,  
Że ten wieczór bachusowy,  
Na który pieniądze dali,  
Ozdabia wieńcem ich głowy;  
Bo w tej młodzieńczej czeredzie,  
Z lotem myśli był i skutek.



Sąd jak łyżka po obiedzie,  
Lub jak wymuszony smutek  
Były bezużytecznymi. —

Tu tylko się odznaczano  
Chęciami błyskawicznymi,  
A wcale nierozważano,  
Jaka z nich następność będzie,  
Lub jakie wnioski wypadną. —

Puste głowy, pono wszędzie  
Następności nieodgadną. —

A wiemy, że i cieleta  
Miewają swoje akcenta. —  
Póki też nie są wołami,  
Spójrzmy jak dalej brykają. —

Teraz sałę wazonami  
Nakształt gaju ubierają;  
A inni z cukiernikami  
O lody się umawiają. —

Tam dalej z bufetczykami  
Stoły winem ociążają;  
A każdy harmideruje,  
Jeżeli z lokajów który  
Nie zbyt spiesznie usługuje,  
Bo wszyscy z nosem do góry,  
Wszyscy razem dyrygują,  
Tak, że w tłumie wykrzykaczy,  
Pokojowi niepojmują,  
Co ten zbiór paniczów znaczy.

Każdy szukał zachwycenia,  
Chciał się wskazać genialnie,

Lecz jak nazłość, że natchnienia,  
W żadnym niebyło formalnie.

Jednak jakoś uładzili;

Już dziewiąta na zegarze,  
Już pokoje oświecili,  
I wchodzą goście po parze. —

Nim orkiestra się nastraja,  
I rozpoczęto tańcować,  
Satyra w żółc się uzbraja,  
By drażliwiej krytykować;  
I każdy w dotkliwych słowach,  
Rad wyszydzać cudze zdania,  
Sądząc się wyższym w obmowach,  
Sam jest celem posądzania. —

Ten tam siedząc, krytykuje  
Dwie młode damy wchodzące,  
Że z nich jedna się różuje,  
Drugięj twarz wielka jak słońce.

A z niego sąsiad żartował:  
Że wstawione ma dwa zęby,  
I choć mocno się piżmował,  
Jednakże czuć z jego gęby. —

Jeden ganił umizgania,  
Staręj już kokietki wdowy; *Sierozicka*  
Drugi przeciwnego zdania;  
Chwalił takt jej salonowy. —

Ten wyszydza kłęb wydatny,  
Panny jak płomień czerwonej;  
Inny jego: że niezdatny  
Wstrząsnąć łono narzeczonej. —

Ten zły uśmiech imituje;  
 A ten, niezgrabne dygania.  
 Ów z nich obydwóch żartuje:  
 Sędziowie dla podpisania.

Elegant z okularami, *Kleszczewski*  
 Nudził panien duserami,  
 Zachwycał się ich szarfkami,  
 Sam się chlubiąc pierścionkami.

Starzec śmiesznie fircykował, *Wajntanner*  
*(Kleszczewski)*  
 Babka z pereł się pyszniła;  
 Ów w postawie się forsował,  
 A ta półokiem patrzyła. —

Ta drobną nóżkę wystawia,  
 Chcąc wzbudzić zapal młodzieży,  
 I loczkami się zabawia,  
 W śnieżność swych ząbków niewierzy.

A ta stroje oceniała,  
 Patrząc na nie od niechcenia;  
 Gdy sąsiadka poziewała,  
 Od zbytich uciech westchnienia.

Niektórzy ostróżnie w stronie,  
 Cicho zdania objawiali,  
 Gdy tuż głośno o salonie,  
 I wazonach rosprawiali. —

W ten sposób godzina cała  
 Jak zwyczajnie upłynęła,  
 Aż nim muzyka zagrzmiała,  
 I młódź do tańca stanęła. —

Wówczas wrzawa się wzmocniła,  
 I na grupy podzielona,

Spółeczny rozwój tworzyła. —

W północ, generała żona

Otrzymała zapytania:

Czemu niema oficerów?

Im pewnie, mąż pani wzbrania

Bydź na ucztie kawalerów?

Broń Boże! odrzekła; niewiem

Dla czego dotąd nie przyszli,

Zaraz od meża się dowiem;

I zapytała: niewieszli

Czemu tak się opóźniają?

Wiem. — Oni sobie upstrzyli

Niebydź. — Tém się wymawiają,

Że zawczora uradzili,

U majora dziś zabawić. —

Drugi raz po nich posłałem,

I wnet muszą się tu jawić. —

Ja fortel ich zrozumiałem.

Ho! na kiel chcą wziąć młokosy,

Że z wyjątkiem naznaczeni.

Ale ja utrę im nosy!

Jak to? oni nieproszeni

Przez gospodarzów zabawy?

Generałowa spytała. —

A! to mi zarzut ciekawy,

Mnieś przeto winnym uznała?

Tak sędzę, i ich pochwalam. —

A ja to nie tak pojmuję,

I podwładnym niepozwalam

Niespełniać, gdy rozkazuję!

I generał zaperzony,  
 Jeżył się, zgrzytał zębami,  
 Na powadze zachmurzony,  
 Ciągłe wstrząsał bulonami.

Aż wtém, jakby po komendzie  
 Oficerowie wchodzili,  
 I za krzesłowe krawędzie,  
 W szereg się ustanowili. —

Zimno na wszystkich patrzali  
 Niemówiąc żadnego słowa,  
 Czasem szpady poprawiali,  
 Lub schyliła się ich głowa  
 Gdy się im znajomy kłaniał. —

Jeden na sufit spojierał;  
 Drugi do okna się skłaniał;  
 Trzeci na szpadzie się wspierał. —

Damy się im przyglądały,  
 Dziwiąc się ich ordynkowi;  
 W duchu sobie podchlebiały:  
 Oni nas porwać gotowi. —

Wtém generał zamarszczony  
 Podszedł ku nim; ostro groził,  
 Że dwa razy był zmuszony  
 Po nich posyłać. — Zagroził  
 Że pozrywa epolety. —

A choć zcicha tak sztrofował,  
 Lecz bliżej siedząc kobiety  
 Słyszac, rzekły: on żartował. —

Wojskowi zdumieni stali;  
 Generała słów słuchali,

Nic mu nieodpowiadali,  
 Tylko razem się kłaniali. —  
     On się opomniał, oddalił,  
 Bo niewłaściwe postąpił. —  
     Nikt też jego niepochwalił,  
 I ogólny szept nastąpił:  
 Że Generał niewłaściwie,  
 Użył stylu żołnierskiego;  
 Że wojskowi sprawiedliwie  
 Muszą powziąć żal do niego;  
 Że słusznie się urazili  
 Za tak pocieszne wezwanie,  
 I gdy z musu tu przybyli,  
 Na Generała żądanie,  
 Powinien był błąd poprawić,  
 Za ich grzeczność podziękować  
 I do ich woli zostawić,  
 Gdy tu niechęcią się znajdować;  
 Lecz naglić, by swęj godności,  
 I kolegom ubliżali,  
 Tego prawo moralności  
 I sąd dzikich niepochwaili. —  
     I długo bez poruszenia,  
 Wojskowi na miejscu stali,  
 Dając tém do zrozumienia,  
 Że tylko służbę spełniali.  
     Jednak jeszcze pan generał.  
 Z marsem jednemu powiedział.  
 Że chce, aby on tańcował. —  
     Ten mu nic nieodpowiedział;

Odjął szpadę, i najbliżej  
 Siedzącej tuż przed nim damie,  
 Skłonił się niemo najniżej,  
 Aż z kolanem było ramie;  
 Podał rękę, gdy ta wstała. —

A choć kompanija cała  
 Wichrem polkę tańcowała,  
 Że aż sala się wstrząsała;  
 Lecz on, przy krześle, powoli,  
 Kilka turow zmaszerował,  
 Dał poznać, że z obcej woli  
 W tém zgromadzeniu tańcował, —  
 I znów stanął z kolegami. —

\* \* \*

Gdy poloneza zagrali,  
 I mężczyźni z ukłonami  
 Damom ręce podawali,  
 A tak złączeni parami,  
 Gęsiosem postępowali  
 Do stołu, gdzie z umizgami  
 Starsi i damy siadali;  
 Wówczas wojskowi z pospiechem  
 Wyszli z sali, pojechali,  
 Gdzie na nich z czułym uśmiechem  
 Współbracia oczekiwali. —

Znowu razem się bawili  
 U Koznaczeja swojego,

Wspólnym kosztem jedli — pili. —

A choć nic tu szczególnego  
 Na zaletę nie działali;  
 Bo w karty się ogrywali,  
 Do przesytu napijali,  
 I po birbantsku śpiewali;  
 Jednak byli szczęśliwymi,  
 Że się społem uraczają,  
 Że pogardziwszy innymi,  
 Sami sobie dogadzają. —

\* \* \*

W tém czasie i na zebraniu  
 Prześwietnych sanopieściuchów,  
 Zmieniano danie po daniu,  
 Wśród talerzowych rozruchów. —

A inłódź która fetowała,  
 Że usiąść miejsca nie miała,  
 W okóło jedzących stała. --  
 Lecz że na zabój płaśała,  
 Wściekły apetyt cierpiała. --  
 Jednakże choć pożądliwie,  
 Lecz skromnie na żer patrzała. —  
 Później zaczęła gniewliwie  
 Sledzić półmiski spróżniane. —  
 W końcu gdy się przekonali,  
 Że potrawy podawane,  
 Bez względu na nich zjadali,



Bo wszyscy w sztuce jedzenia,  
 Godność własną pojmowali,  
 I niechęć upośledzenia,  
 Z obżarstwem się łądowali. —

Oni już zniecierpliwieni,  
 Łaknieniem żołądka czczego,  
 Szczególniej dwaj podchmieleni,  
 Dla apetytu lepszego,  
 Przy drzwiach do bufetu stali,  
 I gołą ręką kotlety,  
 Na swój talerz nabierali. —

A wszyscy później po wety,  
 Przez głowy kobiet sięgali.

Te lękając się gorszego,  
 Spiesznie wybiegły do sali. —

Wówczas oni, bez żadnego  
 Względu ostatki szarpali,  
 Jakby wilki wygłodniałe. —

Potém jeszcze tańcowali,  
 Prawie dwie godziny całe. —

Ale w stołowej nie mało,  
 Hołdowników bachusowych,  
 Dla szampana pozostało. —  
 I przy wystrzałach korkowych,  
 Swój majestat uzacniali,  
 Podatek z wina płacili,  
 Wyższej wziętości szukali,  
 Że drożej mózgi durzyli. —

Wkrótce do nich dosyc dużo,  
 Weteranów przynęcono,



Którzy gracko gardłu służą,  
Despotycznie żyją z żoną. —  
A tak nie jeden tatulek,  
Zapomniawszy na zgorszenie,  
Ciągnął z czary, gdzie synalek,  
Śmiało wypróżniał kieszenie. —

\* \* \*

Liczba tańcerzy zmniejszała. —  
Gdy damy to ~~za~~widziały,  
Każda przyczynę zganiała,  
Wszystkie zaraz wyjechały. —  
Bo one, chociaż nie stale,  
Lecz częściej z serca myślały; —  
Namiętnie lubiły bale,  
Pjaństwa wszakże nie cierpiały. —

\* \* \*

Jak tylko mężczyźni sami.  
I mężczyźni zapijaki,  
Pozostali z butelkami;  
Hola! bracia! zrzucaj fraki!  
Z dymkiem w czubku wykrzyknęli.  
I wówczas wielbiąc swobodę,  
Bez miary do gardła leli,  
I pili salcerską wodę,

By skutki szampana stłumić,  
 By więcej nalać do brzucha,  
 By hojniej pieniędzy zgłumić,  
 By utopiła się skrucha. —

\* \* \*

Ojcowie już osowieli. —  
 Lecz z młodzi więcej wytrwali,  
 Gapi tylko humor mieli. —

Gdyby śpiących roszuchali,  
 Pletli kosałki — opałki:  
 O intrygach, o rozpucie,  
 I inne różne przechwałki,  
 O myślistwie i o guście. —

Gdy i to mało działało,  
 Dwóch z nich zneglizowanych,  
 Na śródo stoła tańcowało. — *Alena Wokhannier*

Tém sposobem rozespanych,  
 Do uwagi zniewolili,  
 Bo co były na zawadzie,  
 Wszystkie kieliszki pobili. —

Po tój szklanej kanonadzie,  
 Jeszcze pili pół godziny,  
 Aż nim dobrze rozwidniało,  
 Że na obliczach ich miny,  
 Światło dzienne odkrywało. —

Kilku chcąc wyjść, z krzesel wstali;  
 Ale że nogi zdradzali,

Więc znowu pousiadali. —

A inni jakoś zbląkali  
Do stołu gazetowego,  
Gdzie siedząc nazbyt scenicznie,  
Jeden naprzeciw drugiego,  
Pytali się: czy też wiecznie,  
Mają kłamać gazeciarze?  
I z pedantyzmem krytyków,  
Prąjektowali o karze,  
Za obłudę czytelników. —

W tém, na francuzkiej gazecie,  
Spostrzegli odrysowany,  
Własny karnawał w portrecie,  
Ołówkiem naszkicowany. —

Patrzą — patrzą i nie wierzą;  
Wstydzą się wzajem zapytać,  
Śledczém spójrzeniem się mierzą,  
Wreszcie chcą podpis przeczytać.  
Lecz że w oczach się dwoiło,  
Wyrazów nie rozpoznawali. —

Znów kilku innych przybyło,  
I wspólnie się przyglądali: —

PAN A.

Wszakto?.....

PAN B.

Nasz wóz pikmikowy!

PAN C.

Z dziwaczniemi figurami!

PAN D.

Przypiął wszystkim ośle głowy!

PAN E.

Cha - cha! i damy z uszami!

PAN F.

Jakże w zły moment schwycono!

PAN G.

Nad grupką woźnicy puha!

PAN H.

Cóż tam przecie podpisano?

PAN I. (czyta).

„*Młodzież wyższoho kruha*“\*) —

PAN K.

O szaraki! To zapewnie!.....

PAN L.

Jakiś malarz bosopięty!

On zazdroszcząc czuje rzewnie,

Że do zabaw nie przyjęty!

PAN Ł.

Nie! to któryś z oficerów!

PAN M.

E! żaden z nich tu nie wchodził;

---

\*) Młodzież wyższego koła.

Chyba który z professorów,  
Ten koncept z głowy swej spłodził.

PAN N.

A może kąkol z naszego  
Koła, źle do nas wszczepiony!  
Lub który z plewienia jego,  
Tu wpuszczony nieproszony.

PAN O.

Jednak za paskwil tak śmiały,  
Nam należy prześladować!  
Ktoby nie był ten zuchwały,  
Kącuzkiem go udarować! —

PAN P.

Tak mosanie! za żart taki,  
Srogo pomścić się wypada,  
Dobrze trzeba dać się w znaki!  
Bo aszaurków gromada,  
W łapciach szlachta zaściankowa,  
Z kupcami, z popadziukami,  
Za nos wodzić nas gotowa!

PAN R.

Tak! tak! z tymi jchmościami!!!

PAN S.

Mądrzej trzeba postępować!  
Nie mścić się, ale przebaczać!

Lepszemi czyny wzorować!  
Nadal godniej się odznaczać! —

PAN T.

To mi rada z zakarwasza!

PAN U.

Nie cenić swojego ale!

PAN W.

Nam tak każe wiara nasza.

GŁOS KILKU:

Przewybornie! — doskonale!  
Wiwat zgoda! wypijemy!  
Hej! fagasy! węgierskiego!  
Paskwil winem zalejemy,  
Bez procesu najmniejszego. —

\* \* \*

To zdanie głosów większości,  
Nie zwlekając wypełnili,  
I pjanii do przesytości,  
Prawie rakiem wychodzili. —

Radzi więc byli woźnicy,  
Co noc całą z mrozu drzeli,  
Gdy panowie przy szklanicy,  
I wspomnieć o nich nie chcieli. —

Radzi byli i lokaje,  
Którzy z futrami czekali;  
Każdy w duchu panów łaje,  
Pomagając wyjść im z sali. —

I chwiejących się z kłopotem,  
Ledwie w sanie usadzili;  
A jak w domu było potem,  
O tém zamilczeć prosili. —

Wyznam tylko: nie daj Boże!  
Jeżeli głowa rodziny,  
Wraca do domu nie w porze,  
Dla szulerki, albo p'jany. —

A dziś jednak te wypadki,  
Sukcesyjnie przekazane,  
I już widzim dzisiaj matki,  
W złe rozrywki uplątane. —

Ta zaraza się rozlewa,  
Od pałaców, w małe chatki,  
I kraj zatém ubolewa,  
Na wynaturzone dziatki. —



## NIEDZIELA.

Święty Boże! Święty mocny,  
W kościele kornie śpiewano,  
Gdy wzmieniony szal ponocny,  
Rozstając się dopijano. —

Była to ósma godzina,  
Gdy ze mszy ranniej wracali,  
Sługa, czeladnik, dziewczyna,  
I idąc pacierz szeptali. —

Wtedy trzy trójki młodzików,  
Pod ręce z sobą związanych,  
Umnicyzmu zwolenników,  
A teraz jak bele pjaných,  
Pieszko z bankietu wracali,  
I z twarzami ozyżłemi,  
Słaniając się popychali. —

Boże! miej litość nad nimi,  
Rzekli z westchnieniem widzowie. —

Ale idąc do kościoła,  
Gdy ujrzeli ich uczniowie,  
Nieumieli pojąć zgoła,

Że ich starsi braciszkuwie,  
 Na  rodku miasta bezwstydnie,  
 Złoconej kasty synowie,  
 Kołują p'jano ohydnie. —

I szanuj e tu starszego,  
 Poczęli mówić z drwinkami! —

Chyba z tych panów kadego,  
 Uszanować pejczykami. —

Oto to dzielni krewniacy!  
 Cz m si  na  wiecie zajmują;  
 Ot  to godni rodacy!  
 Jak ycie czynu pojmują. —

A my przyszło  malujemy,  
 Jako błękit w dni majowe;  
 I wr ym: e w niej pojmiemy,  
 Jak duchowe, uczuciowe,  
 Promienie serca rozwin c,  
 Niebiańsk  t c  oskłonić,  
 Tchnieniem bosko ci owion c,  
 Ciałowe chucie odgonić. —

A to wszystko ma p jść marnie,  
 Skoro z  wiatem si  złączymy,  
 Gdy społeczno  nas zagarnie,  
 I członekami jej b dziemy. —

O! czy tego kraj i wiara,  
 Czy si  tego spodziewają,  
 Siwy ojciec — matka stara?

Gdy tak w duszy rozwaają,

Już pĳani z oczu im znikli,  
 I oni, weszli w pokorze  
 Do świątyni — gdzie uklekli,  
 Modląc: Strzeż nas Panie Boże!

\* \* \*

Na Niedzielę, jeszcze wczora,  
 Przez kwartalnych oznajmiono:  
 Że u wic-gubernatora,  
 Zjadać bliny naznaczono. —

Damy już się przebudziły,  
 Leżąc w łóżku poziewały,  
 Na służące zadzwoniły,  
 Strój galowy zakazały. —

PANI (dłubiąc nos:)

Czy wstał Pan?

SŁUŻĄCA.

Jeszcze śpi. Zrana  
 Dziś położył się niedawno. —  
 Wtém weszła garderobiana,  
 Trzymając bluzę jedwabną. —

PANI (wyciągając się:)

Niech stangret założy konie!  
 Pojadę na mszę w karecie. —

3\*

## SŁUŻĄCA.

Już dzwonił na kazanie. —

~~Już dzwonił na kazanie.~~  
PANI (schwytnąc się z łóżka:)

A! więc w rannój toalecie  
Pojadę. — Prędej herbaty!  
I nocny czepek zrzuciła,  
I duże warkoczu sploty,  
Sama w kuknę uszpiliła. —  
Wodą warszawską zmoczyła  
Ręcznik; otarła policzki;  
Trochę włosy przyglądziła. —

Sługa nadziała trzewiczki,  
Zwawo ściąga Jej spodniczki;  
W ciepły szlafroczek ubrała. —

Już panna Jej rękawiczki,  
I lisią muftę trzymała. —

Pani herbatę wypiała,  
O dzieciach się zapytała,  
Futro — kapotkę włożyła,  
Dobry dzień dzieciom oddała;  
Bonie zlekka się skłoniła;  
Lecz w układzie pojąć dała,  
Że przez łaskę to czyniła,  
By się nie spoufalala. —

A gdy ją dziatki busiały,  
Lokaj rzekł: pojazd gotowy. —

Dziewki barlacze wkładały,  
Wpięły welum blondynowy. —

Pani spiesząc pojechała  
Do kościoła, co był bliżej,  
Gdzie osobne krzesło miała,  
Od ławeczek wspólnych wyżej. —

Bo potrzeba i w kościele,  
Okazać swoje znaczenie. —

A gdzie ludzi tak jest wiele,  
Jakże tam pańskie westchnienie,  
Zdała od stopni ołtarza,  
Ma z kątką lecieć do Boga,  
Z tyłu za prośbą łazarza?  
Jak tam stać, gdzie wszelka noga,  
Może się zetknąć z pieszczoną,  
I do spazmów nerwy wzruszyć?  
Gdzie z nienaperfumowaną  
Gawiedzią, trzeba się zdusić;  
Gdzie z drzwiów wieje, zziębnąć można,  
Choćby w futrze sobolowém. —

Tam tylko zgraja bezbożna,  
W złym kożuchu owczyńowym,  
Albo w siermiędze łatanej,  
Ustoi bez straty zdrowia. —

O! tam kośćownie odzianej,  
Ciężko tchnąć, jak z pod ołowia;  
Jak djabłu w święconej wodzie;  
Jak przed skonem grzesznikowi;  
Jak rybie w zamarzłym brodzie;  
Jak przed prawdą wpółmędrkowi. —

Z czołem zatem uchyloném,  
Ze spuszczoneń w dół spójrzeniem,

I z obliczem zakwefioném  
 Jak pod opiekuńczym cieniem,  
 Szła za swym lokajem pani,  
 Rozpychając tłum narodu;  
 I nikt jój tego nie gani,  
Bo to była pani z rodu. —

Już przy swém krześle stanęła,  
 Dwie rówienniczki ujrzała,  
 Od sługi książkę przyjęła,  
 I współsiostrzyczkom dygała. —

*Shackiewicz*

Ksiądz z ambony perorował;  
 Wzbudzał ducha pobożności,  
 Zapustne uczty sztrofował,  
 Grożąc: że niebo litości,  
 Niema nad tymi, kto sobie  
 Żyje tylko dogadzając,  
 Gdy bliźni obok w tej dobie,  
 W niedostatku jęczy lkając!  
 Gdy wiele dziątek w niedoli,  
 Nie pobiera wychowanie;  
 A rodzicom serce boli,  
 Że w biedocie nie są w stanie,  
 Umocnić wiarę w ich lonie,  
Wytreścić godność człowieka;  
 Gdy tymczasem w zbytkach tonie,  
 Cierpką zniewagą dopieka,  
 Przemożna klasa współbraci. —

I w kaznodziejskim zapale,  
 Kończył mowę: „Wy fiksaci!  
„Tak szczodrzy na gry i bale.”

„A skąpi w politowaniu,  
 „Nieosiągniecie zbawienia!  
 „Dla dusz waszych po skonaniu,  
 „Wieczny ogień potępienia!“ —

Włos się jeżył, zbladły lica,  
 Wszystkim paniom co słuchały.

Kornie uklękła dziewica,  
 U niektórych łzy się lały. —

W dali na ucho szeptano:  
 Że walne było kazanie,  
 Na sumnienie uręczano,  
 Że dziś prużne chyba sanie,  
 Dadzą ubogim dla jazdy. —

Taki domysł się nie spełnił. —  
 Bo wprzód upadłyby gwiazdy,  
 Nimby tak bogacz dopełnił. —

\* \* \*

Po mszy skończonej, wróciła  
 Pani do domu. — Śpiącego  
 Pana znalazła. — Zbudziła  
 Go sama mówiąc: że tego  
 Dnia nie chca być na szlichtadzie,  
 I u wic-gubernatora. —

MAŻ.

A cóż to ci na zawadzie?  
 Przyznasz sama: że nie pora  
 Odmawiać, gdyś zaproszona,  
 Przyrzekłaś być nieodmiennie? —

ŻONA.

Jestem cierpiąca — znużona. —

MAŻ.

Kociu! obiecałaś solennie,  
I musisz dotrzymać słowa. —

ŻONA.

Na serijo w domu zostanę. —  
Od rana boli mi głowa;  
I choć wymówkę dostanę,  
Chcę z dziećmi ten dzień przepędzić. —

MAŻ.

Bedziesz się z nami nudziła?

ŻONA.

Wolę z dziećmi pogawędzić. —  
A przytęm dwónasta biła,  
A jam jeszcze nieubrana. —  
Wstań, może na cię czekają. —

MAŻ.

Tys tak wszystkim pożądana;  
Tak serdecznie cię kochają?..

ŻONA (odchodząc:)

Calutki dzień będę w domu. —  
I przed mężem zataiła,  
I nie wyznała nikomu,  
Dla czego projekt zmieniła. —



A ksiądz to odjął ochotę,  
I dziewice, że płakały,  
Kapłan to wyrządził psotę,  
Że się damy opomniały. —

Lecz się odwołać wstydziły,  
Do zeznań prawdy i cnoty,  
Które w ich sumnieniu były,  
Niedziałalne wśród pustoty. —

Bo zawsze, gdzie samodzielnie  
Rozum z honorem władają,  
Tam ziemskość gnębi piekielnie,  
Tam swych cieniów się lękają. —

\* \* \*

Po wyjściu pani, ziewał pan,  
Leżąc prawie kwadrans cały. —

Potém zawołał: „hej! tu! Jan!“  
Służącemu ręce drżały,  
Gdy wchodził niesąc miednicę,  
Bo pana w złym sosie ujrzał. —

Podał pantofle — szlafnicę,  
Pan charkał, plwał, w lustro spojrzwał,  
Swej postaci się przymilał;  
Osiwiał włoś wyskubał,  
Wdział szlafrok, poły roschylił;  
Siadł przy stole, zęby dłubał. —

Wstał, pochodził, wypił wody;  
Siadł w fotelu, o czémś dumał. —

Bo to był pan nie młody,  
 I wiele o czém marzyć miał. —  
 Dwa lata w Petersburgu żył;  
 Odwiedzał kluby, bulwary,  
 I na wyścigach końskich był;  
 Rok w Moskwie palił ofiary  
 Baletniczkom i aktorkom;  
 Potém jeździł do Warszawy,  
 I tam był miły kawiarkom. —  
 A gdy tyle zyskał sławy,  
 Pojął żonę z kapitałem;  
 I niewiem co ich złączyło,  
 Ale dobrze zrozumiałem,  
 Że w nich miłości nie było. —  
 Teraz pan herbatę pije. —  
 Zadarł głowę, znowu ziewa. —  
 Na zegarze pierwsza bije. —  
 Pan wstał, myje się, odziewa. —  
 A że już czekały sanie,  
 Więc nie wejrzawszy w głąb domu,  
 Wyprawił się na śniadanie,  
 Jak spłoszony niedźwiedź z łomu. —

\* \* \*

Po upływie parę godzin,  
 Policmeyster, dwóch kwartalnych,  
 I żandarmów konnych tuzin,  
 Jak do parady ubranych,

Główną ulicą jechali,  
Spiesząc do tej kamienicy,  
Gdzie szczęśliwi ucztowali. —

Wówczas srodzy dziesiątnicy,  
Spełniając rozkaz zwierzchników,  
Z kijami się uwijali,  
Bili jadących rolników,  
Którzy z targu powracali,  
I na lichych swych konikach,  
Nie prędko z drogi zwracali. —

Bo ich losem: by w siniakach  
Pikmik panów rozgłaszali. —

Dla skrócenia tej obławy,  
Tych grzbietowych traktamentów,  
Tej policyjskiej zabawy,  
I tych bolesnych lamentów,  
Czterem żandarmom kazali,  
By w głównych punktach stanęli,  
I jadących ostrzegali. —

Potém sznury przeciągnęli,  
W poprzek ulic wykazanych,  
Gdzie arka miała przepływać,  
I towarzystwo wybranych  
Miało koncert pustot zgrywać —

Dziś do nawy założyli  
Dziesięć koni z kokardami;  
A stangretów ustroili,  
Kuczerskimi kostiumami.

Wziętemi z poczty miejscowej  
 Za wpływem pana pocztmiejstra,  
 Adonisa majorowej  
 I rywala policmiejstra. —

\* \* \*

Oto już widać z daleka,  
 Jak korab rysio nadbiega. —  
 Przechodzień na bok ucieka,  
 Ciekawych dzieci ostrzega,  
 Bogusiów — Sorek — i Saszow. —

Brzęk dzwoneczków, tętent koni,  
 I szczęk żandarmskich pałaszów,  
 Miły ton dla ucha roni,  
 I drażni umysł dziecinny,  
 Którym cacko treścią życia. —

Na ich też ustach, niewinny  
 Uśmiech, wieścił serca bicia. —

Ale stary, uchylony  
 Kłopotami — przygodami,  
 Mając umysł rozświetlony,  
 Ciągłemi życia burzami,  
 Wzdrygnął się paralitycznie,  
 Łzą oblała się źrzenica,  
 Gdy spostrzegł, że tak komicznie,  
 Wytrzeszcza się maślanica. —

Ze ludzie w latach z nim jednych,  
 I w tym wieku postępowym,

Wymarżli z czucia dla biednych,  
Pyszną się harcem zbytowym. —

Bo dziś w koło nawy stali,  
Nie same tylko młodziki;  
Papatycznie się wspierali:

Sowietnicy, półkownicy,  
Wszystkich lekarzy inspektor,

Z powiatu pogranicznego  
Marszałek, szkolny dyrektor,

I niezgaduje dla czego,  
Czy dla myśli postępowej,  
Czy, że innych brakowało,  
Dwóch lokajów marszałkówój,  
W liberyi razem stało. —

\* \* \*

Już ulicę przejechali,  
Wkoło rynek objeżdżają,  
Przed zegarem się wstrzymali,  
I jak mruwki się ruszają. —

Widzowie hurmem zbiegają,  
Obaczyć co się tam stało;  
Z nimi razem się zbliżają,  
I chłopki biegąc nieśmiało. —

„He! hłań! hetaż adna bluje!“\*)

Wyrzekł muzyk zaglądnając,

\*) Héj! patrz! wszakto jedna womituje.

I palcem przed się wskazuje. —

A drugi na dybki stając,  
Podjął czapkę abłauchą,  
Aż się łysina wskazała,  
I ze szczególną otuchą:

„Musić wielmi pierebrała!“\*)

Odczekł rohocząc pieraszemu. —

Żydzi tłumnie chychotali,  
I w drwinkach jeden drugiemu,  
Swe uwagi objawiali. —

Rzeczywiście chłop niezbredził;  
Ta fatalna rzecz się stała;  
Łokieć sukna się obrudził;  
Jedna z dam womitowała. —

Medyk wyjaśnił przyczynę,  
Zkąd ejakcja powstała;  
Złożył na to całą winę,  
Że na wstecz twarzą jechała. —

Gdy więc żołądek ulżyła,  
Czuła się być uzdrowioną,  
I tylko miejsce zmieniła. —  
Brudy z sukna otrząsniono. —

Ach! jakże inne damulki,  
Subjekcyjnie tam siedziały.  
Ach! jak ściszały gębulki,  
Gdyby niesmak powstrzymały,  
Przetrwac scenę, co węch drażni,  
Dokuczliwą kliwość zdusić. —

\*) Pewnie zanadto przebrała!

Lecz jeżeli dla przyjaźni,  
I cygan dał się powiesić,  
Czegoż z wyższem wychowaniem  
Damy by niedokazały? —

I nad chorą ze wzdychaniem,  
Dalej chasać pojechały. —

Tego dnia króciej jeździli;  
Ale prędeż i wystawniej;  
Więcej gawędy stworzyli,  
Szydzo no głośnie j, zabawniej. —

Wielu jednak żałowano,  
Że się wdali w ten hec pusty,  
Ich przez litość wymawiano:  
Że zwyczajnie, to zapusty. —

Lecz bodaj, lepiej by było,  
Nie zebrzeć politowania. —  
Lepiej, jeśliby przybyło,  
Do sercowego działania:  
Żywotnych badaczów słowo,  
Lub wdzięczność za czyn ludzkości,  
Uwielbiane wszelką mową,  
Dla zasług życia w przeszłości. —

Wszak już cztery dni ubyło,  
Z naszego tutaj istnienia,  
A cóż dla duszy przybyło?  
Żal, i wstydu wspomnienia. —

A wieczność tuż przed oczami!  
I w niej Pan Bóg, sędzia prawy!  
Może śmierć tropi za nami,  
Nieda czasu do poprawy!

I zaginiem w sercach ludzi,  
Jak widnia własnej miłości;  
A gdy trąba z grobu zbudzi,  
Pójdziemy w otchłań nicości!

Miłosierdziem bez rachuby,  
Możem się tylko ocalić!

Lecz biada! że dla swej zguby,  
Zdajem się chcieć stos podpalić.

Nim gangreny puls uderza,  
Buszują fibry zmysłowe,  
A serce jako u zwierza,  
Ma pokusy osobowe,  
Dotąd jeszcze absolutnie,  
Pan się z rokoszą porusza,  
I wesół hołubca utnie:  
Hulaj dusza bez kontusza!  
Trać dar Boży do ostatka,  
Chociaż giną: dziatwa, matka!

Egoizm miarę przebiera;  
Cieszy nas bratnia przygoda;  
Nikt łzy w biedzie nieociera,  
A ofiarę z żółcią poda. —

Tak i dziś, panie — panowie,  
Po szlichtadzie, pamiętają  
O tém tylko w swojej głowie,  
Jak niedzielę skończyć mają. —



Pospiesznie się przedziali,  
I gdy zmroku była pora,  
Na hece znów się zjechali,  
Do Wice-gubernatora. —

Tam jak zwykle: tańcowali,  
Suto jedli, suto pili,  
O północy wyjechali,  
W miękką pościel się złożyli. —

\* \* \*

Tylko dwóch panów młodzików  
Wiedząc, że inni mieszkańcy,  
Nieuczestnicy pikników,  
Lecz średniej klasy wybrańcy,  
Na reducie się bawili,  
Zażądali ich obaczyć. —

Ale że we frakach byli,  
Które mają lepszość znaczyć  
Niżli pokrój surdutowy;  
Bo etykieta kazała,  
I pan rozum salonowy,  
Gdyby frakom się kłaniała,  
Sławiańska w połach kapota,  
Z żenady nieodsłonią,  
Jako wstydliva prostota,  
Bez francuzkiego ogona;  
Więc do mieszkań swoich zaszli,  
Tużurki ponadziewali,

I tylnemi drzwiami weszli  
Do bufetu. — Rozkazali  
Dać wieczerzę. — Po jedzeniu,  
Wstąpili do sąsiedniego  
Pokoju, gdzie w odetchnieniu,  
Z orszaku tańczącego,  
Siedmiu młodzików siedziało,  
Którzy tych przychodniów znali. —  
    Ci susem z miną zuchwałą:  
Pocście przyszli? spytali. —  
    Bo ich ubior tużurkowy,  
Za szykanę poczytali.  
    W tém sekretarz mężny, zdrowy,  
Którego osiłkiem zwali,  
Nadszedł na te zapytanie. —  
    A choć dobrze znajomy był,  
Lez ambicji zeznanie,  
Którą po prapradziadach czcił,  
W antenatowych stronicach,  
Dawną pieczęcią stwierdzony,  
Nie wstrzymało go w granicach. —  
    Na honorze obrażony,  
Nie przyjął podanej ręki. —  
    Spójrzał dziko, czoło schmurzył,  
Wzniósł kułaki, zzymał szczęki,  
Termin brzydkich słów wynurzył. —  
    Ci wzajemnie odgrażali,  
Byczą miną się iskrzyli;  
Z pogardą na nich patrzali,  
Wstecz z pokoju wystąpili. —

Napastnicy nieścigali;  
Lecz z oczami tygrysiemi,  
Tryumfalnie w gruppie stali,  
Mówiąc za odchodzącymi:  
Nędzna arystokracija!

Oni w odwet się ozwali:  
Plugawa demokracija!

I wzajemnie się zmierzali,  
Jak dwaj dzicy zapastnicy,  
Chciwi kulą poprzeć zdanie. —

W końcu ten kąkol z przenicy,  
Wyrzekł wzajem na rozstanie,  
Kiwając głową wzgardliwie:  
*Ach! o tempora! o mores!\**)  
Jedni i drudzy prawdziwie,  
Byli: *ambo meliores\*\**). —

---

\*) Ach! o czasy! o obyczaje!

\*\*\*) Obaj lepsi.

# PONIEDZIAŁEK

i

# WTOREK.

**K**atolicy temi dniami,  
Wzajemnie się uraczali,  
Kołodunami i pączkami. —

A prawosławni wzdychali:  
Że minęły dni zabawy,  
Pojazduszki i płaśania,  
I że tylko postne strawy,  
Cerkiew pożywać nie wzbrania.

Bohomolcy pokłonami,  
Panu Bogu hołd składali,  
I woskowemi świecami,  
Dań obrazom wyplacali. —

Im dziak czyta, a on wzdycha:  
*Pomiłuj Hospodi Boże!\*)*  
Wciąż się żegna, szepcze scicha,  
Bije łbem ziemię jak może. —

---

\*) Boże! bądź miłościw!

Modły wprawdzie miłe takie,  
Jeśli i czyny jego,  
Były z pacierzem jednakie. —

Bowiem Niebo, tylko tego  
Do chwały Bożej przyjmuje,  
Kto hołd niesie uczynkami,  
Własnej miłości nie czuje,  
Żegna się pokory łzami,  
Samnasam w cichej komorze,  
Z Eliaszową żalobą,  
Nie myśląc o ziemskim worze. —

Lub po pracy, nocną dobą,  
Ślubuje jutrzejsze sprawy,  
Dla pomocy cierpiącemu,  
Jak chce Boski dogmat prawy,  
Zapowiadając każdemu:  
Że bez czynów, niczem wiara! —

Choć więc kadzisz, skaczesz w dzwonie,  
Nic to wszystko jak czczy para,  
Nie pomoże ci po zgonie. —

Bo dwóm panom nieusłuszysz:  
Panu Bogu i mamonie;  
Na ziemi pychę się zdurzysz,  
A tam!... będziesz w lewej stronie. —

Tak w tém mieście prawosławni,  
Więcej możni urzędnicy,  
Kubanami tylko sławni,  
Biorąc nawet jaja — świecy,  
Chcieli razem z bogaczami,  
Czcic bachusa w karnawale,

I nie tańszemi sukniami,  
 Upstrzyć swe żony na bale. —  
     Gdy się z kassą obliczyli,  
 Znaczny deficyt ich strwożył. —  
 Lecz że sprawami rządili,  
 Każdy więc projekt ułożył:  
 Jak zwlec interes kruczkami,  
 Łapowy przemysł udwoić;  
 A tymczasem pokłonami,  
 Chcą głos sumnienia ukoić. —  
     I z takimi to myślami,  
 W cerkwi oni się modlili;  
 I z takimi to chęciami,  
 Kłaniać się Bogu ważyli! —  
     Katolicy w koleżeństwie,  
 Zbratani z prawosławnymi,  
 I w służebnem pokrewieństwie,  
 Tchnąc zasadami jednemi,  
 Których przymiot szczegółowy,  
 Wydiańczony kubanami,  
 Sposób życia i ich mowy,  
 Własnemi ich terminami,  
 Opiszę rzetelnie z czasem,  
 Jeszcze dzisiaj w Poniedziałek,  
 Przechwalają się z hałasem:  
 Że ich prosił pan marszałek  
 Na bal, z ich familijami. —  
     Tu, ich żony się mizdrzyły,  
 Z zalotnemi dygansami,  
 I słodko w głowie roily:

Że córeczek ich przymioty,  
Serca panów zczarowały,  
I zakwitnie im wiek złoty,  
Gdy z nich zięciów będą miały. —

Zdurzeni płonną wziętością,  
Hardzi byli z podwładnymi,  
Jak żółwie swą plugawością,  
Pod skorupami twardemi. —

A lepiejby dla każdego,  
Jąć się zdania Krasickiego:  
„To mi piękném się wydaje,  
„Gdy równy z równym przestaje.“ —

\* \* \*

W tych dwóch dniach, sanie wystawy,  
Nie znalazły ochotników;  
Chociaż generał łaskawy,  
Dawał półkowych koników,  
A nawet upraszał szczerze,  
By serdeczne chęci jego,  
Przyjęły damy w ofierze,  
Do uprzyjemnienia swego. —

Jeździli tylko kuliga;  
Rozsypani w różne strony,  
Jeden drugiego prześciga:  
Konik siwy — konik wrony. —

Krotofilnie się zmijały,  
 Różnobarwne stroje dam,  
 Wszystkie ulice wmieszczały:  
 Jadących tu — jadących tam. —  
 Przy spotkaniu się wzajemnie,  
 Czują ukłon znajomi szłą,  
 Chłopcy panien nadaremnie,  
 By pomówić, dogonić chcą. —  
 Nieułowisz — nieułowisz!  
 Chyba uśmiech, lub spójrzzenie;  
 Nieszczęśliwys, gdy uroisz,  
 Że w tém serca upewnienie. --  
 Bo dziewica nasza płocha:  
 Wrzy miłością jak krynica,  
 Ale trochę tylko kocha,  
 I pierzchnie, — jak gołębicą. --  
 Podczas zapust ona pusta,  
 Drwi z miłości i westchnienia,  
 Karmelkami zwilża usta,  
 I tańczy bez wytchnienia. —

\* \* \*

Mieszczanin też — salnik tłusty,  
 Fabrykańci, rzemieślnicy,  
 Całe dwa dni, piąty, szusty,  
 Rozjeżdżali po ulicy. —  
 Im po trudach te igraszki,  
 Prawdziwą były roskoszą;



A niektórzy czarta z flaszki,  
Gdyby zatrul biedę, proszą. —  
    Na frasunek, dobry trunek!  
Za ostatni grosz wypili,  
I jak piekła wizerunek,  
W ciasnych szyneczkach bluźnili. —  
    Subjekt, żołnierz z gryzetskami,  
W wynajętych pokoikach,  
Składkowemi redutkami,  
Pocieszali się w wybrykach. —  
    Chychotania, zalecanki,  
Ich w prostocie zdowolały,  
Czasem nawet połajanki,  
Na króciółko rozdąsały. —  
    Rzemieślnik z panią majstrową,  
W gronie całej swej gospody,  
Nalewką spirytusową,  
Zalewał Wtorkowe gody. —  
    Od waszeci do waszeci,  
W każdym stanie gracko dźgali,  
Nawet obojej płci dzieci,  
Puńczykiem się traktowali. —  
    Księża takóž i mniszeczki,  
Stary zwyczaj dochowali,  
Miodku, wina i wodeczki,  
Wieczierzając dolewali. —  
    Wszyscy bachusa wielbili,  
Jedli i pili jak w worek,  
Bo tak dziadowie robili,  
Przepędzając tłusty Wtorek. —

\* \* \*

W tym dniu zaawizowano,  
Ogólny wieczór z tańcami. —

Przytém zaproponowano:  
Że można być i z maskami.

A że kościół zawarował,  
Tańczyć tylko do północy,  
I ten się zwyczaj szanował,  
Odwiecznie w całej swej mocy,  
Więc już o siódmej godzinie,  
Na salę się zgromadzili,  
W paryżskiej strojów rutynie. —

Tu, zarówno się bawili,  
Średnia klasa i panowie,  
Oplacając wchodowego,  
Kanceliści, marszałkowie,  
Po pół rubla od każdego. —

Marszałkowa nałogowie,  
Lukrecyjnje ugrzeczniona, *Wielkopowłoniłkasa.*

Pieściła się w każdym słowie,  
Jak huryska rozmarzona;  
I żaliła się wzdychając:  
Jak zbyt wiele ucierpiała,  
Że musowi ulegając,  
Tak zabawnie rozjeżdżała.

Z nią też razem inne panie,  
Rumieniąc się tłumaczyły:  
Że wyrazić nie są wstanie.  
Jak ich te bliny nudziły. —

W komplementach wyznawali:  
Że rozejm w dniach ominionych,  
Słusznie publiczność nie chwali. —

Bo w tych użytkach przepłaconych,  
Ni osłody, ni uroku,  
W dziesiątej części nie było,  
Ile w tém ogólném tłoku,  
Roskoszy w łono przybyło. —

Czy to prawda? wiedzą oni. —  
A zapusty ku schyłkowi. —  
Cyt! kościół na głuchych dzwoni!  
Do widzenia — bądźcie zdrowi. —



Cnota! wielkość człeka, godność jego duszy!  
Ona go pokrzepia we wszelkich przygodach. —  
Bo nikt cnotliwego potęgi nie wzruszy;  
On z cnotą w niedoli, wesół jak na godach. —  
Żadna siła ludzka, żadne skarby świata,  
Nie utrwałą szczerzej miłości dla brata! —  
Jedna tylko cnota duszą się skojarza,  
Wieczną serca ludów przyjaźnią obdarza! —

KONIEC.



INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72

Tel. 26-68-63







